

Ach, ci koledzy...

Autor: Jacek Jasiński



W 1980 roku ukończyłem szkołę budowlaną i natychmiast podjąłem pracę w firmie budowlanej, ponieważ od dawna miałem marzenie bycia niezależnym finansowo. Nie słuchałem rad wychowawczyni, która zachęcała mnie do kontynuowania nauki w technikum. Po prostu interesowała mnie kasa i to nie za kilka lat, ale już teraz. W pracy imponowali mi starsi koledzy, panowie po 50-tce, którzy dawali mi możliwość przebywania w ich towarzystwie i wypicia kielicha, a później coraz więcej i więcej alkoholu. Czułem się wtedy taki ważny, dorosły i niezależny. Zabawy, dyskoteki i alkohol.

W 1985 roku zostałem powołany do wojska. Trafiłem do jednostki gdzie wpajano nam agresywne zachowania, co sprawiało, że mieliśmy zapędy bandyckie, czuliśmy się panami tego świata. Po siedmiu miesiącach przyjechałem do domu na pierwszy trzydniowy urlop z powodu choroby matki. Czułem się kimś ważnym, a przede wszystkim bardzo dorosłym i mówiłem sobie, że teraz to mogę się napić i pić bez umiaru.

Po dwóch latach, kiedy wyszedłem z wojska, trafiłem do środowiska lubującego się w bijatykach i rabunkach i słynącego z ostrego imprezowania. balang z dużą ilością wypijanego alkoholu.

W 1987 roku poznałem dziewczynę, z którą dwa lata później się ożeniłem. Przez pierwsze trzy lata naszego małżeństwa było dość spokojnie, ponieważ mieszkaliśmy u teściów i wszystko było pod ich kontrolą. Po trzech latach otrzymaliśmy klucze do własnego M i wtedy zaczął się koszmar dla mojej żony i mojej rocznej córeczki. Znikałem z kolegami i bawiliśmy się, wypijając duże ilości alkoholu. Wracalem do domu, wszczynalem burdy i znowu znikalem na kolejny tydzień, żeby być z kolegami. Cały czas wydawało mi się, że ja mogę swoje picie kontrolować, przecież dwa, trzy piwka i do tego seta to jeszcze nie nałóg. Ilu to porządnych inteligentnych ludzi uznaje to za normę, żeby po prostu być na chodzie. Wśród kolegów prowadzone były rozmowy tego typu, że panem i władcą w swoim domu jesteś ty, a nie kobieta. Takie mowy podobały się nam pijącym, utwierdzały nas w zwodniczym przekonaniu, jacy to my jesteśmy ważni. Te nauki szybko były wprowadzane w czyn po powrocie do żon i dzieci. I tak całe 10 lat wracając pijany do domu terroryzowałem moją żonę i dzieci nakręcany przez pseudokolegów.

Nastał teraz dla mnie bardzo trudny czas, ponieważ żona, matka i teściowa prosiły i cierpiały z powodu mojego kawalerskiego stylu życia, charakteryzującego się brakiem odpowiedzialności za rodzinę i aroganckim zachowaniem. Liczyło się to, co powiedzieli koledzy. I tu nagle szok, prawomocny wyrok za znęcanie się nad rodziną, 2 lata w zawieszeniu na 4 i dozór kuratora sądowego. Na pierwszym spotkaniu kurator zaproponował mi pomoc w wyjściu z kryzysowej sytuacji. Powiedział, że wie, jak mi pomóc, tylko jest jeden warunek - moja na to zgoda i partnerstwo w realizowaniu pewnych zaleceń. Oczywiście przytaknałem mu, ale nie traktowałem poważnie nałożonych na mnie przez sąd obowiązków. Unikałem dalszych spotkań z kuratorem. Uciekłem do Warszawy do pracy. Pracowałem ponad miesiąc, ale rodzina nie miała z tego żadnych korzyści, ponieważ zarobione pieniądze były na miejscu przepijane z kolegami. Kiedy wróciłem ze stolicy, byłem już kompletnie zdruzgotany bez prawa powrotu do domu i rodziny. Nawet moja

matka odmówiła mi schronienia w swoim mieszkaniu. Błąkałem się od meliny do meliny, a jeżeli już i tam nie miałem wstępu, spałem na ławkach w parkach. Coraz częściej miałem napady myśli samobójczych po wcześniejszej już próbie samobójczej na budowie w Niemczech.

No i wtedy na moje szczęście odnalazł mnie mój kurator. Nie krzyczał, tylko zapytał, czy pamiętam naszą pierwszą rozmowę i powiedział, że już powinien miesiąc temu napisać notatkę do sądu, że unikam dozoru, co wiązało się z przekazaniem sprawy policji. Oświadczył, że w dalszym ciągu jest nastawiony, aby mi pomóc. Kiedy mnie nie było przez dwa miesiące, prowadził rozmowy z moją małżonką, przedstawiając jej argumenty, że warto jeszcze podjąć jedną, być może ostatnią próbę, aby mi dać szansę wyjścia z życiowej zapaści. Kiedy któregoś razu w czasie wizyty była obecna moja teściowa, słysząc słowa kuratora, zdenerwowała się i powiedziała, że to nie ma najmniejszego sensu, bo on wiele razy już na kolanach przysięgał, że się zmieni i jest jeszcze gorzej, niż było wcześniej. Obie kobiety już tak miały mnie dość, i nie chciały ryzykować, aby dopuścić do kolejnej awantury w mieszkaniu z udziałem męża i zięcia pijaka. Tłumaczyły, że muszą zapewnić bezpieczeństwo Karolinie i małemu Bartkowi. Kurator nie ustępował i próbował poprzez zadawanie pytań: czy zdają sobie sprawę, że alkoholizm to choroba? - przytakiwały, że tak, że są w pełni tego świadome. Mówił, że chorego powinno się leczyć, a nie zostawiać na pastwę koleśków. Kiedy te sugestie nic nie zmieniły, zapytał czy pamiętają weselne ślubowanie obu stron w kościele przed księdzem, Panem Bogiem i gośćmi weselnymi. Ślubowanie zapewniające o wzajemnej trosce, szacunku i miłości w biedzie, chorobie, aż do momentu, gdy ich śmierć nie rozłączy? Żona powiedziała: „*Tak, przypominam sobie, ale to on nie dotrzymał pierwszy tej umowy, a nie ja*”. Kurator prosił, aby żona dała mi ostatnią szansę, sugerując, że jeżeli będę włóczył się po melinach czy parkach, trudno mi będzie uwolnić się od kontroli koleśków i że tym razem nie zostanie sama, że on ustali warunki mojego przyjęcia do domu na dwutygodniową próbę i deklarował, że przy pierwszym moim agresywnym zachowaniu sam postara się o wyeksmitowanie mnie z domu już na zawsze. Żona po wahaniach zaufała kuratorowi i mogłem przekroczyć próg nowego mieszkania, do którego się przeprowadziła, ponieważ poprzednie większe opuściła pod moją nieobecność. Pracowałem wtedy za granicą i było zadłużone z powodu nieopłacanych należności czynszowych. Pierwszym i zasadniczym postawionym mi warunkiem było podjęcie terapii dla uzależnionych od alkoholu i to od zaraz i stały, nawet kilka razy w tygodniu, kontakt z kuratorem. Musiałem przystać na te warunki, ale i tak próbowałem kombinować, a mianowicie po terapii zaliczałem kilka piwek. Zostałem szybko napomniany i pouczony, że nie tak ma przebiegać moje wyjście z uzależnienia i otrzymałem kolejne wskazówki, które mówiąc szczerze ignorowałem. Znowu zacząłem unikać spotkań z kuratorem, ale ten na bieżąco kontaktował się z moją żoną i nie pozwalał mi na chodzenie swoimi drogami. Żona zniecierpliwiona, nie widząc szybkich zmian, oznajmiła kuratorowi, że nosi się z zamiarem, aby wnioskować w sądzie o zmianę kuratora, bo ona się spodziewała, że ten będzie mnie musztrował, straszył i złamie zło we mnie. Kiedy zobaczył, że nie stosuję się do wcześniejszych uzgodnień, znowu znalazł mnie po kilku dniach i zaprosił do swojego biura, oznajmiając, że nosi się z zamiarem przekazania mnie do gestii sądu. W tym momencie zrozumiałem, że to jest gość bardzo mi przyjazny, ale nie frajer, którym można w nieskończoność manipulować. W mojej obecności ku mojemu niesamowitemu zaskoczeniu podziękował Panu Jezusowi za to, że wyciągnął go z trudnych życiowych sytuacji i mówił, że starał się pomóc Jackowi, czyli mnie, ale jego możliwości się już wyczerpały i wypowiedział takie oto słowa: „*Panie Jezu, ja rezygnuję z ratowania tego człowieka, ale wiem, że Ty wszystko możesz, uczynź z nim coś*”.

W tym momencie nieoczekiwanie zawołałem „Boże pomóż mi, bo ja już nie mogę tak dalej”. I w tym momencie coś we mnie pękło. Józek mi pogratulował, wręczył małą niebieską książeczkę gedeonitów pt. „Nowy Testament” i zachęcił do czytania i kontynuowania udziału w spotkaniach w punkcie dla ludzi uzależnionych od alkoholu. Pamiętny dzień 23 września 2002 roku, o godzinie 17:15 przeżyłem swoje narodziny do nowego życia. Kiedy wychodziłem, mój kurator zasugerował mi, że kolejnym bardzo ważnym krokiem, który muszę uczynić, to całkowite oderwanie się od pijących kolegów i oświadczył, że on jest gotów już od dziś być tym pierwszym z nowej paczki, że mogę mówić mu po imieniu i spotykać się z nowym kolegą tyle razy w tygodniu, ile tylko będę chciał.

Nastąpiło prawdziwe pojednanie z żoną Jolą, córką Karoliną synkiem Bartkiem, moją mamą i teściową. Moje życie ma nowy wymiar w aspektach relacji i miłości małżeńskiej, rodzicielskiej i społecznej. Pracuję i wszystkie pieniądze przynoszę do domu. Teraz z nich korzysta moja rodzina, a nie koledzy. Biorę udział w spotkaniach w klubie garnizonowym z młodymi żołnierzami wraz z moim kolegą kuratorem Józefem Stępnem, który ma stałe prelekcje na temat uzależnień i związanych z nimi konsekwencji prawnych, zatytułowane „Syndrom stanu kawalerskiego”.

Czytając Biblię, zrozumiałem, dlaczego to niezgłębione bogactwo mądrości Bożej nazwane jest Księgą ksiąg, dlaczego jest bestsellerem wszechczasów. Odkryłem wiele niezwykłych, zdumiewających faktów. Poznaję je nadal. Poznaję Boga i poznaję człowieka, poznaję siebie. Poznałem prawdę o człowieku i prawdę o sobie samym. Prawdę pochodzącą od Tego, kto zna człowieka najlepiej - od Stwórcy. Zrozumiałem wiele rzeczy, o których wcześniej nie miałem pojęcia. Tyle zachowań ludzkich, dziwnych i niezrozumiałych, stało się naraz oczywistymi, bo naturalnymi. Kim ja jestem? Skąd się tu wziąłem? Po co tu jestem na tym świecie i w tym właśnie czasie? Dokąd zmierzam? Co jest najważniejsze w moim życiu? Jak żyć?

Długa lista pytań, przepełnionych frustracją i bez odpowiedzi, wypełniła się odpowiedzią prostą, oczywistą. Boży plan zbawienia człowieka, tak wyraźnie wykreślony w Biblii, przybrał realne wymiary i nigdy wcześniej nie podejrzewałem, że tyle w tym planie zwykłej logiki. W mojej krótkiej jeszcze relacji duchowej z Bogiem, już tak wiele otrzymałem odpowiedzi na modlitwy. Wcześniej w innych książkach znajdowałem wiedzę. Teraz, w Biblii znajduję mądrość jakże niezbędną do pokonywania życiowych przeciwności.